



**przez  
rozum  
Fascynująca  
wędrownka do  
wiary**

Jacek Bacz

Wydawnictwo WAM ■ Księża Jezuiti  
Kraków 2013

© Wydawnictwo WAM, 2013

Korekta Sylwia Łopatecka  
Projekt okładki Andrzej Sochacki  
Łamanie Jacek Zaryczny

ISBN 978-83-7767-880-0

WYDAWNICTWO WAM  
ul. Kopernika 26 • 31-501 KRAKÓW  
tel.: 12 62 93 200 • faks: 12 42 95 003  
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl  
www.wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY  
tel.: 12 62 93 254-255 • faks: 12 62 93 496  
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA  
tel.: 12 62 93 260, 12 62 93 446-447  
faks: 12 62 93 261  
e.wydawnictwowam.pl

Drukarnia Wydawnictwa WAM  
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

# SPIS TREŚCI

Zaproszenie	9
Powrót	19
Układanka	31
Demokratyzm	41
Siła świadectwa	53
Prawdziwe szaleństwo	65
U granic czystego rozumu	73
Boża zasadzka	91
Wyjście awaryjne	103
Rozpoznawanie obrazu	119
Bezsensowne pytania	129
Wierzący inaczej	143
Rozum w odwrocie	157
Widmo Galileusza	175
Agnostyk u niebios bram	187
Raj utracony	195
Będziecie jak Bóg	203
Na początku	211
Nie pozwolisz żyć czarownicy	223
Rozdział dla inżynierów	241
Miłość na korcie tenisowym	251
Pilnie strzeżona tajemnica piekieł	267
Boża dyskrecja	275
Punkt wyjścia	283
Zalecane lektury	287
Pożegnanie	299
Źródła	303
Cytaty	311

# ZAPROSZENIE

Największy błąd popełnia ten, który nie robi nic tylko dlatego, że może niewiele<sup>a</sup>.

Edmund Burke

GDYBY mnie zapytano, dlaczego napisałem tę książkę, powiedziałbym pewnie, że jest to książka, którą powinienem był przeczytać, kiedy miałem dwadzieścia pięć lat. Powiedziałbym to z premedytacją, ponieważ wiem dobrze, że w owym czasie nie sięgnąłbym po tego typu lekturę, nawet gdyby wpadła mi w ręce: nie pozwalał na to stan mojego umysłu. Napisałem więc dla siebie książkę, której na pewno bym sam w młodości nie przeczytał.

Powyższy paradoks domaga się wyjaśnienia. Bo w wieku dwudziestu pięciu lat jest się już prawie dorosłym człowiekiem. Ja byłem wtedy po studiach i właśnie miałem się zenić. Minęły najgorsze lata młodzieńczego buntu, gorączka hormonalna powoli ustępowała i wydawało się, że wracał rozum. Otóż rozum istotnie powrócił – tylko odmieniony: utracił w międzyczasie cnotę niewinności. Wyjaśnię zaraz jak to rozumiem.

Aby rzucić nieco światła na stan mojego umysłu w wieku dwudziestu pięciu lat, chciałbym posłużyć się przykładem. Chodzi mi o opis wskrzeszenia Łazarza, zamieszczony w Ewangelii według św. Jana. Ów Łazarz umarł był i przebywał już w grobie cztery doby, gdy Jezus – według relacji ewangelisty – przywrócił go do życia. Chociaż wydarzenie to wywołało zrozumiałe poruszenie, efektem jego były bardzo różne ludzkie reakcje: jedni uwierzyli wtedy w Jezusa; drudzy, wtedy właśnie postanowili go zgładzić. Jak to się dzieje, że jedno i to samo zdarzenie wywołuje tak różne postawy?

Pamiętam, jak ten problem zwykłem rozwiązywać. Otóż mówiłem sobie, że cudowne wskrzeszenie Łazarza było mistyfikacją. Ciemne masy w Palestynie były i są,

jak wszędzie, łatwowierne. Ale „uczeni w piśmie i faryzeusze”? Przecież to była intelektualna elita tamtych czasów. Ci specjaliści od religii z pewnością rozpoznaliby cud, gdyby istotnie się wydarzył. Ich zdecydowana reakcja to najlepszy dowód na to, że cud był po prostu oszustwem.

Tak rozumiałem wskrzeszenie Łazarza przed wieloma laty. Dziś, gdy opowieść tę ponownie odczytuję, widzę, że obraz jest bardziej złożony. „Uczeni w piśmie i faryzeusze” nie zaprzeczali prawdziwości cudu; ale też weń nie wierzyli. Kwestia prawdziwości cudu ich nie zajmowała. Przede wszystkim chcieli oddalić od siebie niebezpieczeństwo, jakie przedstawiał Jezus. Na roztrząsanie prawdy nie było czasu. Wiadomo też z innych relacji ewangelicznych, że ludzie ci wypowiedzieli już wtedy zdecydowaną walkę Jezusowi i zaangażowali swój autorytet. Gdyby przeprowadzili teraz śledztwo i okazałoby się, że cud naprawdę się wydarzył, cóż począć? Publicznie go potwierdzić? Zmienić zdanie? A prestiż, a status społeczny, nawet majątek? Byli przestraszeni; nie szukali prawdy, bo bali się, że mogą ją znaleźć. Podobni adwersarze, w innym czasie i miejscu, oskarżali Jezusa o cudowne uzdrowienia mocą diabelską, choć samych uzdrowień nie kwestionowali, bo musiały być nie do podważenia. Gdyby ci sami ludzie przeprowadzili dochodzenie w sprawie cudownego wskrzeszenia Łazarza i doszli do przekonania, że jest prawdziwe, musieliby – w myśl tej samej logiki – uznać je za dzieło szatana.

Posłużyłem się dobrze znaną historią z Ewangelii dla pokazania jak brzemienny w skutkach może być stan umysłu. Zgoda, że wybrany przykład ma charakter

ekstremalny: to samo wydarzenie skłania jednych do wiary, a innych do mordu. Jednak będę się bronił. Wziąłem pod uwagę przypadek krańcowy, aby łatwiej uchwycić naturę problemu oraz powagę sytuacji; wydobyć na światło dzienne pewne postawy myślowe, których obecność niełatwo sobie uświadomić, chociaż nikt nie może powiedzieć, że jest od nich całkowicie wolny.

Wrażliwy czytelnik chciałby się teraz ująć za biblijnymi faryzeuszami, których musiałem potraktować szablonowo ze względu na potrzebę chwili. Na ich obronę powiem teraz, że obracając się w wirze niezwykłych wydarzeń mogli nie mieć całościowego oglądu sytuacji. To dlatego Jezus modlił się z krzyża: „Ojcze odpuść im, bo nie wiedzą, co czynią”. I jeżeli nie wiedzieli, to było im odpuszczone. Przyznam też, że starożytnych zapewne usprawiedliwiała ich niewiedza; być może nie posiadali wszystkich danych; być może działali pod naporem chwili. Bo jeżeli nawet apostołowie za życia Jezusa nie do końca rozumieli jego niezwykłą misję, to cóż powiedzieć o osobach postronnych czy przeciwnikach politycznych? Stąd w odniesieniu do świadków ówczesnych wydarzeń można mówić o ignorancji, jako o okoliczności łagodzącej. Ale na jaką niewiedzę mogłem się powołać ja, mając owe dwadzieścia pięć lat? Przecież chrześcijaństwo nie narodziło się wczoraj. Do namysłu miałem dwa tysiące lat, a potrzebne informacje były w zasięgu ręki. Ze sposobności nie skorzystałem. Co miałem na swoją obronę?

Piszę te słowa na użytek czytelników, którzy zwykle nie interesują się religią, albo – z różnych powodów – wyrobili sobie już o niej negatywne zdanie. Chcę, by wiedzieli, że

rozumiem ich położenie: w objęciach paradoksu książki niechcianej spędziłem wiele długich chwil, a na własnej skórze przekonałem się o istnieniu poważnych trudności, na jakie dziś natrafia sensowne mówienie o religii, z których najpoważniejszą jest brak zgody, co do tego, czy sensowne mówienie o religii jest w ogóle możliwe. Kwestia ta wiąże się z językiem. Kiedy na przykład katolik zasiada do rozmowy na tematy religijne z ateistą, agnostykiem, czy nawet praktycznym materialistą, to pomimo mnogości słów mają sobie niewiele do powiedzenia, bo mówią *de facto* różnymi językami. Dla niewierzącego dyskurs religijny kojarzy się z absurdem, bo za słowami nie kryje się dla niego żadna rzeczywistość. Wiem o tym z doświadczenia, ponieważ pamiętam jeszcze, że w czasach, kiedy deklarowałem się jako materialista, publikacje katolickie, jakie niekiedy wpadały mi w ręce, uważałem po prostu za nienaukowy bełkot – i odkładałem na bok z niedowierzaniem.

Na szczęście brak wspólnego języka nie stanowi trudności nie do przewyciężenia. Chociaż język religii istotnie operuje pojęciami odnoszącymi się do rzeczywistości dla zmysłów niedostępnej, a słownictwo swoje tworzy na zasadzie analogii, nie jest to przypadek odosobniony. W ten sam sposób tworzy pojęcia nauka, bo inaczej po prostu nie może: każdy opis rzeczywistości zmysłom bezpośrednio niedostępnej – a takich jest w nauce bez liku – musi z natury rzeczy odwoływać się do analogii zmysłowej. Co więcej, język bywa analogiczny nawet wtedy, gdy opisuje zwykłą codzienność, o czym łatwo się przekonać, gdy „przychodzą” do nas listy, a do urzędu „wpływają”



podania. Uświadomienie sobie tego stanu rzeczy „wplynęło” niegdyś u mnie na osłabienie podejrzliwości w stosunku do języka religii. Przełomowym natomiast okazało się inne doświadczenie dotyczące sposobu przyswajania języka, które dobrze oddaje słowo „zanurzenie”. Rzecz jasna zanurzenie w język odwołuje się do analogii, a sama metoda przypomina naukę pływania: uczniowie nie czekają z wejściem do wody, aż przyswoją sobie całą teorię, ponieważ zrozumienie najbardziej nawet podstawowych elementów teorii pływania jest dużo łatwiejsze, kiedy jest się już w wodzie. Chciałbym zasugerować czytelnikowi, że w podobny sposób postępuje przyswajanie języka religii i prosić go, by nie zważając na trudności zechciał towarzyszyć mi w podróży do końca, ponieważ jest bardzo prawdopodobne, że po przebyciu kolejnych etapów otwierać się będą przed nim nowe horyzonty. Ukazywanie się nowych, nieprzewidzianych horyzontów było dla mnie największym zaskoczeniem w mojej własnej wędrówce ku wierze, a działo się tak za sprawą kilku wyjątkowych postaci, o których chcę teraz powiedzieć.

W trakcie jakiejś podróży bardzo dawno temu wpadła mi w ręce książka, którą nabyłem na lotnisku, aby nie nudzić się w samolocie. Autorem był niejaki C.S. Lewis, a tytuł brzmiał po prostu *Miracles*, czyli *Cuda*. Piszę „niejaki”, bo nazwisko autora *Opowieści z Narnii*, które zna każde anglojęzyczne dziecko, nic mi wtedy nie mówiło, a do lektury przystępowałem, nie wiedząc zupełnie, z czym przyjdzie mi się zmierzyć. Tak to niemal za sprawą przypadku rozpoczęła się długa intelektualna wędrówka, której nie zawaham się nazwać największą przygodą mojego życia,

a zawdzięczam ją właśnie Lewisowi. Za jego przyczyną, metodą kolejnych „zanurzeń”, zostałem wprowadzony w jedyną w swoim rodzaju literaturę, którą na potrzeby niniejszego opisu nazwałbym popularno-teologiczną. Ten oczywisty neologizm wymyśliłem po to, aby w umyśle czytelnika powstał szok i zdziwienie, jakiego doznaje się, usiłując zestawić przymiotnik „popularny” z rzeczownikiem „teologia”, bowiem ostatnią rzeczą, z jaką teologia się kojarzy, jest popularność.

Lewis wprowadził mnie w świat, o którego istnieniu nie miałem pojęcia nawet wtedy, kiedy po wielu latach spędzonych poza chrześcijaństwem, powróciłem w końcu do wiary mojego dzieciństwa: świat refleksji nad religią, refleksji rozumnej, rygorystycznej i wnikliwej, a jednocześnie przystępnej. Później okazało się, że świat ten zamieszkują także Gilbert Keith Chesterton, Peter Kreeft, Frank Sheed, Scott Hahn, John Henry Newman, Dorothy Sayers, a poza angielskim obszarem językowym, znani polskiemu czytelnikowi André Frossard, Vittorio Messori czy Joseph-Marie Verlinde. Lista „zasłużonych” jest długa, ale tych klasyków nie mogę nie wymienić, bo powstanie niniejszej książki byłoby bez nich niemożliwe, a ich wpływ rozpozna każdy, kto zna ich dorobek. Do mistrzów tych często będę odsyłał, żywiąc nadzieję, że czytelnik, który dotąd z nimi się nie zetknął podąży moim tropem i odkryje dla siebie świat, który ja kiedyś odkryłem.

Bo też moje odkrywanie świata było prawdziwą przygodą. Z każdą nową lekturą czułem się jak człowiek, przed którym celowo ukrywano dotąd jakąś prawdę o świecie. Zapewne wielu neofitów ulega przejściowo tego typu

zauroczeniu – u mnie czar trwa do dnia dzisiejszego, pomimo że upłynęło kilkadziesiąt lat. Jeżeli miałbym w dwóch słowach streścić, co tkwi u podstaw tej fascynacji, to powiedziałbym bez wahania: „rozumność wiary”, co brzmi równie szokująco, jak „popularna teologia”. Każdy licealista w Polsce wie przecież, że czym innym jest „czucie i wiara”, a czym innym „mędrca szkiełko i oko”. I choć przekonanie o wrogości wiary i rozumu nie jest polską specjalnością, bo żywi się nim antyreligijny racjonalizm pod każdą szerokością geograficzną, to w Polsce pogląd ten można (z dumą) wyznawać w majestacie ciągle żywej romantycznej tradycji i dzielają go niekiedy również ludzie wierzący, którzy z perspektywy wiary racjonalizmowi chcą się przeciwstawić. Od czasów mistrza z Nowogródka, który napisał pięknie, ale nie do końca prawdziwie, kolejne pokolenia żyją i umierają w przeświadczeniu, że do wyboru jest albo rozum zredukowany do naukowego doświadczenia, albo wiara zredukowana do uczucia. I tak dwa redukcjonizmy nawzajem się napędzają, a towarzyszy im chichot piekieł, bo nic tak nie obezwładnia umysłu, jak fałszywa dychotomia.

Dziś trudno już pamiętać o okolicznościach, w jakich młody wieszcz składał te strofy: że w duchu właściwym swojemu czasowi pisał romantyczny manifest, że reagował z młodzieńczą pasją na eskcesy racjonalizmu poprzedniej epoki, że odwoływał się do żywego w każdym młodym pokoleniu przeświadczenia o potędze uczucia, i że nie chciał (zapewne) zajmować teologicznego stanowiska w kwestii relacji wiary do rozumu. Ale zajął – a księgi trafiły pod strzechy. W konflikcie pomiędzy wiarą

a rozumem romantyczny rządcą dusz wypowiedział się po stronie wiary, a za kryterium wyboru uznał siłę oddziaływania: „Czucie i wiara silniej mówi do mnie”. Z tej perspektywy rozumność wiary musi wydawać się wyjątkowym nieporozumieniem.

A tymczasem o rozumności wiary chrześcijanie wiedzieli „od zawsze”. Wiedział św. Jan, gdy o Chrystusie-Logosie pisał swoją Ewangelię, wiedział Justyn Wyznawca, gdy w II wieku po Chrystusie układał pierwszą filozofię chrześcijaństwa, wie o niej cała ogromna tradycja katolicka, a Jan Paweł II tematowi temu poświęcił osobną encyklikę. Wydawać by się mogło, że rzecz jest przesądzona. A jednak w świadomości ogromnej liczby tak wierzących jak i niewierzących za pojęciem „wiara rozumna” nie kryją się żadne treści. Zachodzi podejrzenie, że jeżeli istotnie wiara jest rozumna, to zważywszy na powszechność tej wiedzy, fakt ten musi być jedną z najskuteczniej skrywanych tajemnic Watykanu. Przyczyn tego stanu rzeczy nie będę tu dociekać, bo nie chcę drążyć problemu, ale przyczynić się do jego rozwiązania. Wspomnę tylko, że do czasu mojego zetknięcia się z literaturą popularno-teologiczną, w którą wszedłem za pośrednictwem znakomitych anglojęzycznych mistrzów gatunku, również i dla mnie rozumność wiary była pojęciem pustym. Z drugiej strony mam nadzieję, że właśnie ze względu na to, iż „wychowałem się” na literaturze obcojęzycznej, będę mógł przybliżyć polskiemu czytelnikowi jej ducha, w którym żyję i poruszam się od lat. Z tego też powodu w książce znajdują się liczne odniesienia do pozycji obcojęzycznych, czasami po polsku jeszcze niedostępnych,

aby zaciekawiony czytelnik mógł sprawdzić skąd czerpię inspiracje. Izaak Newton, a za nim Clive Staples Lewis wyznawali pogląd, że po to, aby patrzeć daleko, trzeba wspiąć się na barki olbrzymów. Idąc za ich przykładem, sam czyniłem to chętnie, gdy tylko zachodziła potrzeba. Czytelnik oceni, czy postępowałem roztropnie.